

KATARZYNA ŻWIREŁŁO

NIM PADNIE PIERWSZY STRZAŁ

Nigdy nie lekceważ
przeciwnika

KATARZYNA ŻWIREŁŁO

**NIM PADNIE
PIERWSZY
STRZAŁ**

Autor:

Katarzyna Żwirełło

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk
Natalia Chrobak-Lechoszest

Skład i projekt okładki:

Alicja Malinka

Zdjęcia z okładki:

© Tomas Anuziata from Pexels
© Harrison Haines from Pexels

ISBN 978-83-66977-06-8

© Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2021, wydanie I

Druk: Abedik SA

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2,0 70 g/m²
dostarczonym przez Antalis Poland sp. z o.o.

antalis[™]

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

*Po raz kolejny – książkę dedykuję tym,
którzy ślubowali służyć, chronić i strzec.
Nawet z narażeniem życia...
I słów tych dotrzymali.*

Z marmuru łuk nam chciałaś wznieść,
A miłość to nie zwycięstwa pieśń,
To zimne i skruszone „alleluja”.

(LEONARD COHEN, TŁUM. WŁASNE)

Opowiadana historia jest inspirowana prawdziwymi wydarzeniami, które miały miejsce w 2003 roku. Wszystkie przedstawione w niej postacie są fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do istniejących osób – przypadkowe. Wiele faktów zmieniono na potrzeby powieści, która nie może być traktowana jako zapis rzeczywistych wydarzeń.

6 MARCA, CZWARTEK

Kolumna dwunastu policyjnych samochodów, przewożąca łącznie czterdziestu funkcjonariuszy, sunęła czarną asfaltową drogą. Obraz za bocznym oknem jadącego na czele land rovera zlewał się w jedną, ciemną masę. W pojeździe słychać było jedynie szelest ubrań oraz warkot silnika. Nie było rozmów ani ponownego powtarzania planu, jedynie porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy znali swoje zadania.

Dowódca spojrział na jednego z najmłodszych policjantów i już wiedział, że chłopak się denerwuje. Jechali dokonać zatrzymania dwóch niebezpiecznych przestępców, którzy twierdzili, że nie poddadzą się bez walki. Doświadczeni gliniarze niewiele robili sobie z tego gadania, jednak tych najbardziej wtajemniczonych niepokoiło kilka innych spraw: uzbrojenie bandytów... ich poinformowanie o poczynaniach służb... ich brak oporów przed pociągnięciem za spust.

Młody policjant miał robić plecy starszemu, bardziej doświadczonemu dowódcy i trzymać w ryzach swój impulsywny temperament. Tylko tyle... i aż tyle.

Wiedzieli, że kiedy otworzą się drzwi samochodu, będą już na wrogim terenie. Rozpocznie się akcja z najazdu, która nie powinna trwać dłużej niż kilka intensywnych minut. Dwudziestu sześciu funkcjonariuszy wkroczy na ogrodzony dwumetrową siatką teren. Dwóch zostanie w odwodzie ze sprzętem specjalistycznym, ośmiu otoczy budynek, ośmiu innych zabezpieczy parter, ośmiu kolejnych opanuje piętro i dokona zatrzymania poszukiwanych. Oprócz tych wyznaczonych do przeprowadzenia akcji na miejsce zmierzano jeszcze czternastu dodatkowych policjantów. Na wszelki wypadek...

Samochodem zarzuciło. Młody wyczuł, że zjechali na gruntową, podmiejską drogę. „Już blisko” – pomyślał i mocniej zacisnął dłoń na pistolecie maszynowym. Odetchnął głęboko, przygotowując się na wstrząs. Ten nastąpił po chwili, a do uszu policjantów dobiegł metaliczny zgrzyt taranowanej bramy. Pojazd zatrzymał się gwałtownie. Dowódca otworzył drzwi i grupa szturmowa sprawnie uformowała szyk bojowy.

Ciemno. Zimna noc. Na ziemi leżały poduchy skawalowego śniegu, który skrzypiał pod nogami.

Najciszej, jak było to możliwe, podeszli pod ścianę budynku, choć ich dynamiczny przyjazd i tak obudził okoliczne psy.

Młody policjant przywarł bokiem do muru. Z jego ust unosiła się para, jednak nie odczuwał chłodu. Adrenalina skutecznie rozgrzewała ciało.

Od drzwi wejściowych dzieliło go zaledwie kilka metrów, a od dokonania aresztowania jedynie sekundy. Chwila ciszy i oczekiwania na sygnał do wejścia wyostrzyła mu zmysły.

Nasłuchiwał. Wszystko zdawało się iść jak z płatka, kiedy nagle usłyszał dudnienie dochodzące z wnętrza uspiętego domu. Dostrzegł, że stojący tuż przed nim dowódca wyprężył się nieco i przekręcił głowę. Musiał usłyszeć to samo. Nim zrozumieli, czym był ów dźwięk, nastąpiło niespodziewane...

STYCZEŃ

1

„Nie chwal dnia przed zachodem”

KILKA TYGODNI WCZEŚNIEJ

– Chłopak ma talent. Chciałbym go zabrać ze sobą – powiedział nadkomisarz Filip Tyszka, siedzący w fotelu pasażera.

Kierowca, podinspektor Aleksander Szuwarnski, obrzucił go szybkim spojrzeniem, uśmiechnął się pod nosem i odparł:

– Uważasz, że jest naszym najlepszym człowiekiem, a chcesz go zabrać do narkotykowego? Z czym zostanę ja?

– Wcale nie twierdzę, że Berg jest najlepszy!

– Nie?

– Jest trochę narwany, ale do utemperowania – mruknął nadkomisarz, po czym pewnie dodał: – Ma potencjał!

– Niejeden w tej robocie ma potencjał, ale nieliczni wytrzymują nerwowo takie tempo do emerytury. Powiedziałbym nawet, że zbyt wielu wypala się za wcześnie.

Tyszka przytaknął ze zrozumieniem i po chwili zastanowienia powiedział:

– Nadal będziesz miał Wodzińskiego, Mareckiego i Dukowskiego, choć ten ostatni...

- Co? Wypali się, nie?
- Być może. Czas pokaże. Nie musimy rozmawiać o tym teraz, wiesz? Dopóki nie zamkniemy sprawy, nie mam zamiaru nigdzie uciekać.
- I dobrze, Stary – przyznał Szuwarowski, włączając prawy kierunkowskaz.

Tyszkę nazywali „Starym” tylko najbliżsi koledzy i nie dostał tej ksywki z uwagi na metrykę, lecz na usposobienie. Lubił klasyczne, wiekowe samochody, grywał w szachy, nosił koszule w kratę i tweedowe spodnie. Był człowiekiem zrównoważonym, dbającym o ludzi, za których odpowiadał. Miał czterdzieści pięć lat i zamierzał pracować, dopóki wystarczy mu siła. Mówiono o nim „głina z powołania”.

Od kilku miesięcy razem z Szuwarskim oraz grupą operacyjną rozpracowywali szajkę przestępczą parającą się handlem bronią i narkotykami. Do tej pory łowili płotki, udało im się aresztować paru ulicznych dilerów, ale każdego dnia znajdowali się coraz bliżej bandyckich dowódców. Wiedzieli już, kogo szukają, nie mieli tylko pojęcia, gdzie ich znaleźć, bo od ostatniego, nieudanego zresztą nalotu szefowie gangu, Marcin Laczyk i Szymon Walicki, zapadli się pod ziemię. Aż do tego dnia.

Nim Szuwarowski skręcił, przez skrzyżowanie przejechał biały volkswagen golf. Samochód momentalnie przykuł uwagę obu policjantów. Podinspektor bez zwłoki ruszył za nim, nie czekając już na strzałkę ani zielone światło. Wytężył spojrzenie.

- Już nie te oczy, co kiedyś – przyznał zirytowany. – Wiesz, blachy?

Tyszka przymrużył oczy, po omacku wyciągając z kieszeni notatnik. Przekartkował parę stron, szukając odpowiedniej notatki.

- To on – rzucił po chwili, a w jego głosie dało się usłyszeć podekscytowanie. – To wóz Marcina Laczyka!
- Jasna cholera! Dzwon do kierownika! Zatrzymujemy go, czy jak?!

Nadkomisarz sięgnął po komórkę służbową. Po krótkiej rozmowie spojrzał na kumpla i powiedział:

- Zatrzymujemy skurczybyka! Wyprzedź go, każę mu zjechać na pobocze. Masz przy sobie broń, prawda?
- Jasne, że mam! Od lat zabieram klamkę do domu. Daj spokój, Stary, mamy do czynienia z ludźmi, którzy bez wahania podciąliby nam gardła we śnie!

To powiedziawszy, Szuwarowski docisnął pedał gazu. Podczas wyprzedzania Tyszka pokazał kierowcy legitymację i pomachał ręką w kierunku pobocza. Zajechali im drogę, po czym zwolnili aż do zatrzymania.

- Kiedy wyprzedzałeś, zauważyłem pasażera – przyznał Tyszka z rezerwą.
- To niczego nie zmienia – odparł Szuwarowski i przeładował broń. Wsunął ją sobie do wewnętrznej kabury, po czym dodał: – Podchodzimy spokojnie, jak do zwykłej kontroli drogowej.

- A co później?
- Każę Laczykowi wysiąść, że niby do dmuchania. Miej oko na tego drugiego – zarządził podinspektor.

Tyszka zerknął w boczne lusterko. Widział w nim kawałek białego golfa i siedzącego w środku pasażera. Po krótkiej chwili zapytał:

- Czy to nie jest przypadkiem Walicki?
- Jeżeli jest, to mamy dwie pieczenie na jednym ogniu. Niespodziewane szczęście i piękny koniec sprawy...
- Jak to mówią, nie chwal dnia przed zachodem. Może poczekamy na wsparcie?
- Będą tu za jakieś dziesięć minut. Jak będziemy tak stać i czekać, Laczyk się domyśli, że to nie zwyczajna kontrola, i jeszcze zacznie uciekać. Idziemy.

Wysiedli jednocześnie. Tyszka nie spuszczał oka z siedzących w samochodzie sylwetek, które z początku pozostawały nieruchome. Szybko nabrał pewności, że mężczyzną obok Laczyka jest Szymon Walicki. Przeszli zaledwie kilka metrów w stronę golfa, kiedy w jego wnętrzu zapanowało pewne poruszenie. Nim zdążyli zareagować, powietrze rozdarł niespodziewany huk.

2

„Teraz cała Polska będzie patrzeć nam na ręce”

W biurze Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym panował spokój. W niewielkim, nudnym, zawałonym papierami pomieszczeniu siedziało dwóch młodych funkcjonariuszy. Jeden z nich, blondyn o wesołym spojrzeniu jasnych oczu, oderwał się od komputera, wyrzucił ręce ku górze i przeciągnął się z westchnieniem. Potem powoli wstał zza biurka.

- Idziesz już, Adaś? - zapytał drugi funkcjonariusz, nie podnosząc nawet głowy znad papierów.

- Tak, wszystko już skończyłem - odparł młodszy aspirant Adam Dukowski, niespiesznie zakładając kurtkę. - A ty kiedy kończysz?

- Jeszcze trochę - mruknął prawie niedosłyszalnie ten drugi i podrapał się po ciemnej czuprynie.

Dukowski wzruszył ramionami, po czym usiadł na biurku przyjaciela. Ten uraczył go nieprzychylnym spojrzeniem, bijącym z nadzwyczajnie łagodnych oczu.

- Nie wkurzasz się chyba za tę akcję z weselem, co?

- Skąd! Zapropnowałeś Wodzowi, że za miesiąc nasz zespół, składający się z pianisty alkoholika, znerwicowanego

perkusisty, wypadającego z rytmu gitarzysty i wokalisty totalnego amatora, zagra na jego weselu! Wspaniale zabawiemy wszystkich gości, a potem przez miesiąc będziemy szorować kible na komendzie.

– Przesadzasz, Berg! Ja wcale nie wypadam z rytmu!

– Czasami grasz za wolno, ale teraz nie o to chodzi! Do czegoś takiego trzeba się porządnie przygotować, a czy mamy na to czas? Całe dni spędzamy w robocie. Robimy próby raz na dwa tygodnie. To za mało!

– Znajdziemy czas. Mówiłem już chłopakom, ucieszyli się.

– A nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zapytać mnie o zdanie? Może ja nie chcę, żebyśmy grali na tym weselu?

– Dlaczego miałbyś nie chcieć, przecież... zaraz, zaraz – rzucił z uśmiechem Dukowski. Nachylił się nieco i spojrzał przyjacielowi w oczy, kiwając przy tym palcem wskazującym. – Ja już rozumiem, dlaczego się wściekasz. To nie chodzi o nasze przygotowanie, tylko o nią!

– Wcale nie...

– Tak! Chodzi o siostrę Wodza! Ona tam będzie, a ty, wokalista, nie będziesz mógł wmieszać się w tłum – mówił Dukowski z uśmiechem, a powaga na twarzy przyjaciela rozbawiała go jeszcze bardziej.

– Daj już spokój, Adaś! Postawiłeś nas przed faktem dokonanym, teraz już nie ma odwrotu – odparł Berg i spojrzał na zegarek opasujący jego lewy nadgarstek. – Za dwie godziny widzimy się na próbie, a teraz daj mi dokończyć robotę.

Adaś powoli zsunął się z blatu biurka, gdy niespodziewanie z impetem otwarto drzwi. Do środka zajrzał postawny mężczyzna o mocno rozbudowanych barkach.

– Gdzieś się pali, Dziki? – zapytał spokojnie Adam.

„Dziki” wyraźnie nie podzielał jego żartobliwego nastroju. Z powagą na twarzy na jednym wydechu oznajmił:

– Tyszka i Szuwarzyk próbowali zatrzymać Laczyka. Strzelali się.

– Gdzie?! – wykrzyknął Berg, podrywając się z krzesła. Ożywiony złapał kurtkę i doskoczył do postawnego policjanta.

– Gdzieś przy Dickensa i Grójeckiej. Wódz już tam pojechał, Proca! Kazali nam tutaj zaczekać! – rzucił jeszcze Dziki, kiedy młody funkcjonariusz odepchnął go od progu i pognął korytarzem do wyjścia.

Adaś energicznie chwycił leżący na biurku portfel, po czym pobiegł za przyjacielem. Próbował go dogonić, ale gdy wybiegł z budynku na parking, zobaczył jedynie odjeżdżającą z piskiem opon hondę civic.

Sierżant sztabowy Alan Berg nawet nie myślał, by na niego poczekać. Chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu zdarzenia. Choć nie wiedział dokładnie, co tam się stało i jak przebiegła strzelanina, miał złe przeczucia, co zastanie.

Pół kilometra przed wskazanym przez Dzikiego skrzyżowaniem pojawił się korek. Zniecierpliwiony policjant wjechał na chodnik i tam zostawił samochód. Resztę dystansu pokonał biegiem.

Im bardziej się zbliżał, tym więcej dostrzegał. Grójecką częściowo zamknęto. Policyjne radiowozy blokowały przejazd, a funkcjonariusze kierowali ruchem ulicznym. Za radiowozami zauważył policyjnego vana oraz dwie karetki. Na poboczu stał samochód, który Berg rozpoznał od razu.

Była to bordowa škoda należąca do podinspektora Szuwarskiego. Brakowało w niej tylnej szyby, a rozkruszone szkło obsypało ulicę.

Szedł jak w ciemnym tunelu, na którego końcu nie ma-
czyło nawet najbłedsze światło. Nie zauważył i nie usłyszał
dwóch policjantów, którzy zabronili mu wejścia na teren
prowadzonych czynności. Dopiero gdy jeden z nich złapał
go mocno za ramię, Berg oprzytomniał.

– Jestem z WTK – wyjaśnił i skinął na stojących nieco
dalej funkcjonariuszy. – Tam jest mój naczelnik i nadkomis-
sarz Wodziński. Pracujemy razem.

Dali mu przejść. Czuł, że nogi ma jak z waty. Szedł w stro-
nę policjantów, ale rozglądał się wokoło, wypatrując nadko-
misarza Tyszki. W końcu jego spojrzenie wylądowało na
zakrwawionym asfalcie, a następnie na czarnym worku le-
żącym parę metrów dalej. Jego serce jakby na chwilę sta-
nęło. Zatrzymał się i tkwił tak w bezruchu, aż usłyszał głos
Tomasza Wodzińskiego.

– To Szuwarski. Tyszkę zabrali do szpitala.

Na dźwięk tych słów Berg odetchnął z nieznaczną ulgą.

– Co się stało? – wykrztusił.

– Jechali razem z biura i przypadkiem natknęli się na sa-
mochód Laczyka. Tyszka zadzwonił skonsultować się z na-
czelnikiem. Podjęli decyzję o zatrzymaniu. Potem dowie-
dzieliśmy się o strzelaninie i przyjechaliśmy. Szuwarski do-
stał w głowę, Tyszka kilka razy w brzuch. Zawieźli go na
Szaserów. Laczyk uciekł. Zerkniemy na miejski monitoring
i dowiemy się, co zaszło... A ty dokąd? – rzucił Wodziński,
gdy Berg niespodziewanie zawrócił.

– Jadę do szpitala.

– Nic tam teraz po tobie! – odparł Wodziński, stając
młodemu policjantowi na drodze. – Lekarze zrobią swoje,
a ty przydasz się w robocie. Wszyscy jeżdżą teraz po mie-
ście...

– To strata czasu! Laczyk przecież nie jest głupi! Zaszyje
się gdzieś na dłużej. Pewnie już jest poza Warszawą.

– Musimy to dobrze rozegrać, Proca. Teraz cała Polska
będzie patrzeć nam na ręce.

– Mam to gdzieś! Jak znajdę skurwysyna...

– Proca! – syknął Wodziński. Ścisnął mocno ramię sztabo-
wego i przysunął się do niego tak, że Berg poczuł jego śmier-
dzący papierosami oddech. – Żadnych wyskoków! Naczelnik
zwaliał to wszystko na moje barki. Teraz słuchasz mnie, a ja
nie będę cię głaskał jak Tyszka!

Berg wyrwał ramię z uścisku. Zerknął jeszcze na podziur-
rawiony samochód Szuwarskiego i ruszył w kierunku, z któ-
rego przyszedł.

– Jedź do biura, Berg! – rzucił jeszcze Wodziński, lecz nie
otrzymał odpowiedzi.

Kiedy sztabowy wracał do samochodu, w jego głowie ko-
tłowało się mnóstwo myśli. Miał ochotę przyłożyć komuś
z rozmachem, ale wiedział, że to niczego nie rozwiąże. Jego
priorytetem było teraz odnalezienie Marcina Laczyka, któ-
ry został nie tylko wrogiem publicznym numer jeden, ale
i celem dla młodego policjanta.

Sam Berg nie zdawał sobie sprawy z tego, że strzelców
było dwóch. Zrozumiał to dopiero, gdy jeszcze tego same-
go dnia nachylał się nad miejskim monitoringiem. Obraz
nie był przejrzysty, a cała sytuacja miała miejsce na dalszym
planie widocznego na monitorze nagrania. Materiał jednak

wystarczył, by wszyscy zrozumieli, co się wydarzyło po południu przy ulicy Grójeckiej.

Z walącym sercem Berg oglądał, jak Tyszka i Szuwarski wysiadali ze škody. Przeszli zaledwie kilka metrów, gdy niespodziewanie otwarto do nich ogień. Przestępcy nie wyszli nawet z samochodu. Strzelali przez przednią szybę, a gdy obaj policjanci leżeli już na ziemi, odjechali z miejsca zdarzenia, paląc gumy. Wszyscy się zastanawiali, kim był drugi z przestępców. Z nagrania nie mogli rozpoznać jego twarzy, a jedyną osobą mogącą udzielić odpowiedzi był pogrążony w śpiączce farmakologicznej nadkomisarz Filip Tyszka.

LUTY

3

„Służba nie drużba”

CZWARTEK

Sala weselna była prawie pusta. Stoły ustawiono pod ścianą, krzesła ułożono jedno na drugim. Nic nie wskazywało jeszcze na to, że za kilka dni odbędzie się tu huczne wesele nadkomisarza Tomasza Wodzińskiego. Jedyną oznaką trwających przygotowań był zespół stojący na oszczędnie oświetlonej scenie.

Muzycy byli młodzi, pełni energii i beztroski. Z reguły grali dla własnej przyjemności, jak to zazwyczaj bywa, w garażu perkusisty. To, że szykowali się do zapewnienia oprawy muzycznej wesela, było efektem przypadku oraz gadulstwa gitarzysty, Adama Dukowskiego.

Trwała próba. Pianista uderzał w klawisze, perkusista walił w bębny, gitarzysta szarpał struny w rytm rockowego kawałka. Stojący między nimi wokalista miał dwadzieścia sześć lat, ciemne włosy i łagodne spojrzenie. Był ubrany w niebieskie dżinsy oraz czarną koszulkę. Nie dorównywał wzrostem pozostałym członkom zespołu, ale nadrabiał charyzmą.

Przysunął się do mikrofonu, aby wyśpiewać drugą już zwrotkę.